

Pyrek Chrystus i dzieci

WIESŁAW PYREK

CHRYSTUS I DZIECI



**Nakładem autora:
Warszawa, Świętokrzyska 17
1935**

<http://rcin.org.pl>

Wielce szanownemu
Panu Wiktatorowi
Tomowi Michalskiemu,
Wielkiemu Drujarskiemu
uradziecy

z dowodem na ręce

27.11.1935.

Wiktator

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WIESŁAW PYREK

CHRYSTUS I DZIECI

NAKŁADEM AUTORA:
WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 17
1935



5125

Rolnikiem być
I zdrowe ziarno w rolę siać
I patrzeć jako wzrasta plon —
To najszczytniejszy życia cel!

Od wielu, wielu długich lat, poprzez najróżnorodniejsze przemiany i ewolucje, zależnie od naczelných kierunków umysłowości ludzkiej i ludzkiej kultury, dwa utworzyły się ogniska, dla których racją bytu jest siew dobrych ziaren. Są to: ambona i katedra. Obie, z dwóch różnych powstały przyczyn, ale razem do jednego dążą celu i jedną mają dyrektywę.

Z ambony pada Słowo, które Bóg objawił nam przez cudowną swoją naukę odkupienia świata.

Z katedry głoszona jest wiedza ludzka, która swoją genezę w rozumie ludzkim znajduje i z niego wypływa.

Tak więc, chociaż dwiema różnymi drogami, z dwóch różnych źródeł czerpiemy czystą i ożywczą wodę świadomości i prawdy, dla jednego celu ona nam potrzebna: dla poznania Nieskończonej Prawdy — Boga.

I dlatego zadanie kapłana i nauczyciela, kanonika i profesora jednym jest. Razem podnoszą oni nasze umysły ku prawdzie i wspólnymi siłami wspierają je i ukazują nam szerokie, nadziemskie horyzonty.

Za to wszystko winniśmy im cześć i wdzięczność.

Terenem pracy nauczycielskiej jest szkoła. Wiele różnych szkół jest we wszystkich częściach świata, ale tylko polska szkoła przez męczeńską krew jej obrońców, przez święte i czyste ofiary, dla niej i za nią poniesione podczas wiekowej niewoli i barbarzyńskich prześladowań, stała na wysokości nie tylko uczelni, ale świątyni.

Szkoła polska — to ołtarz narodowy, na którym odbyła się święta ofiara krwi.

Szkoła polska — to kolumna, która swym majestatem i wielkością góruje ponad szkołami całego świata.

Szkoła polska — to pomnik, wzniesiony na fundamentach polskich dusz i serc.

Jedna jest pośród polskich szkół, która na szczególnie zasługuje szacunek: to Gimnazjum pod wezwaniem św. Wojciecha w Warszawie. Liczne są powody, dla których Szkoła ta otoczona jest poważaniem i miłością społeczeństwa. Gimnazjum p. wezw. św. Wojciecha przez długie lata niewoli rozbudzało i podtrzymywało

w młódzieży ducha narodowego, zagrzewało do patriotyzmu i religijności, rzucając zawsze w duszę młódzieży najszlachetniejsze i najwznioślejsze hasła. Na silnych fundamentach ugruntowana stoi ta szkoła: na fundamentach z serc młódzieży, serc, gorejących miłością i wiarą. Silna opoka osłania to Gimnazjum od burz przeciwnych i niebezpieczeństw, a zarazem jest jakby ogniskiem, które koncentruje glorię i powiększa zasługę tej Szkoły. Tą opoką są zastępy tych uczniów Gimnazjum, którzy chlubnie pracowali dla Ojczyzny, kładąc swe młode życia w ofierze, lub poświęcając Ojczyźnie swą pracę i swe siły. Największą jednak, niezapomnianą zasługą jest to, że zawsze broniła polskich spraw narodowych i katolickich, że stała na straży polskości i na tym posterunku stać będzie zawsze! Szkoła p/wewz. Św. Wojciecha przez cały okres dotychczasowego istnienia służyła Narodowi wiernie i będzie Mu służyć nadal.

Jest jeden Człowiek, który twórcą był tej Szkoły, jej duszą, jej opiekunem. Od 1872 roku aż do dzisiejszych dni w mozolnej, szarej, ciężkiej, ale owocnej pracy stworzył dzieło wielkie i nieśmiertelne.

Rolnikiem jest, bo w duszach młódzieży zdrowe siewce ziarno.

Pasterzem jest, bo do najszczytniejszych celów młódzież, Jego opiece powierzoną, prowadzi.

Ojcem jest, bo z rodzicielską troskliwością przed wszelkimi niebezpieczeństwami młodzież osłania.

Tym Założycielem i Dyrektorem prawdziwie polskiej Szkoły, tym Nestorem polskich pedagogów, jest siwy Starzec: Wojciech Górski.

Ja też mam zaszczyt i szczęście zaliczyć się w poczet wychowanków Gimnazjum p/wewz. Św. Wojciecha. Głębką żywiąc wdzięczność i miłość do Czcigodnego Pana Dyrektora, powodowany chęcią złożenia Mu skromnego a tak zasłużonego hołdu za to wszystko, co uczynił dla Polski i dla polskiej młodzieży, ośmielam się ten skromny zbiorek moich pierwszych, młodzieńczych utworów, jako wyraz zrozumienia wielkości idei, które wpajał nam w serca od najmłodszych lat, jako chęć postępowania w myśl idei „pracy“, wiedzy i miłości bratniej, w których jest przyszłość nasza“

Najczcigodniejszemu i Ukochanemu
Panu Dyrektorowi Wojciechowi Górskiemu
poświęcam.

W. P.



CHRYSTUS I DZIECI

Słońce zabłysło jasnym promieniem,
Mozaika barwna na piaszczystej drodze
Wnet się maluje wzorzystym cieniem;
A w cieniu krzewów, gdzie słońce mniej świeci,
Gromadka dziecięk otacza Chrystusa —
— Chrystus i dzieci!

Kędziorki bujne do Chrystusa twarzy
Każde z dzieciątek miłośnie przykłada;
Z dobrym Jezusem szczęśliwe pogwarzy:
Radosny okrzyk w przestrzeń kędyś leci.
Jezus powstaje, a za Nim gromada —
— Chrystus i dzieci.

Na małe główki białe ręce kładnie
I błogosławi, wznosi wzrok w niebiosa...
A na gromadkę jasny promień padnie
I barwne szaty blaskiem swym oświeci. — — —
Cienistą drogą wolno Chrystus stąpa —
— Chrystus i dzieci.



Siewca miłości.

CHRYSZTUS

Bóg wszechmogący, dzierząc w swej potędze
Siłę wszechświata, wolę wszecholbrzymów,
Zstąpił na ziemię i w człowieczej nędzy
Okryty ciałem, pełnią boskich czynów,
Na krzyżu cierpiąc w boskiej swej potędze,
Odkupił wszechświat w ponadludzkiej męce.
On, nicość biorąc w swoje święte ręce,
Zbudował chaos, a z chaosu ziemię,
Zaś z ziemi stworzył marne ludzkie ciało
I tchnął w nie Słowo, a z Słowa powstało
Żyjące z łaski bożej marne, ludzkie plemię.
On wskrzesił światłość, On zgasił ciemności,
Skreślił granicę śmiertelności duszy,
Dzielił uczucia: radości, katuszy.
On, dla Którego nie było korony
Równie potężnej, jako Jego władza,
Konał, cierniowym wieńcem ozdobiony.
Bóg nieśmiertelny, co w wieczności chadza,
Zwyciężył życie, gwałcąc śmierci pęta.
Rozsiewał miłość — choć Bogu przekłętą
Każda nienawiść — nienawidził grzechu.
On zstąpił z nieba jawnym, bożym cudem,
Przez życie idąc między szarym ludem,
Skonał dostojnie — bez śmierci pośpiechu.

DZIECI

Na żółtym piasku ogrodowej ścieżki,
Jak rajskich kwiatów wykwitłe kielichy,
Gdy je niekiedy powiew wiatru rześki
Nagnie do siebie, albo też rozchyli
I szmer wywoła, czasem taki cichy,
Jak rajskich kwiatów szumiące kielichy,
Nagle obsiadłe przez roje motyli.

Na ogrodowej ścieżki żółtym piasku
W złotopromiennym, jasnym słońca blasku
Gromadka dzieci w rozkosznym zachwycie
Pośród zabawy beztroskie ma życie.

Na żółtym piasku ścieżki ogrodowej
Pośród zabawek, pajaców, skakanek,
Całym zmartwieniem dziecięcej jest głowy
Jakiby sposób wymyślić zabawy,
Przepędzić szybko i wesoło ranek,
Tylko wśród zabaw, pajaców, skakanek,
Nie znając bólu, cierpienia, obawy.

Na ogrodowej ścieżki żółtym piasku,
Jak żywe plamy na barwnym obrazku,
Widać dzieciątek radosnych kontury:
Zarys ubranek — biały, czarny, bury.

Na żółtym piasku ścieżki ogrodowej,
Jakby motyli wielobarwnych roje,
W ciągłej zabawie obraz tworzą nowy,
Prosty, lecz cudny — rozkoszy dziecinnej.
W beztroskiem szczęściu znalazły ostoję
Radosnych dzieci, czy motyli roje?...
Z oczu blask bije — blask duszy niewinnej.

Na ogrodowej ścieżki żółtym piasku
Bawią się dzieci. Znać po szczęścia brzasku,
Co na twarzyczki — niewinnej prostoty
Rzucił ozdobę: słońca promień złoty.

POGROMCĄ BURZ

Ledwie szemrzących, morskich grzbiety fal,
Wzbierając w sobie siły niezmożone,
Popłyną w przestrzeń i nieznaną dal,
Wiatru łagodnym powiewem pędzone,
Ledwie szemrzących, morskich grzbiety fal.

Tęczowe blaski palających zórz.
Wyzłocą fale, w znużeniu lenistwem
Drzemiące cicho na wezglowiu mórz,
I musną tchnieniem słońca przezroczysem —
Tęczowe blaski palających zórz.

Słońce zasypia czarodziejskim snem,
Nurzając tarczę w morzu uprzykrzenie,
Wraz z odchodzącym bratem swoim dniem,
Składając Stwórcy świata dziękczynienie —
Słońce zasypia czarodziejskim snem.

Cudowne blaski i cienie zachodu
Na szmaragdowej szarfie firmamentu
Malują słońca z księżyców odvodu
Złotopromienne — wśród światel zamętu
Cudowne blaski i cienie zachodu.

Jak srebrnych sierpów tysiące przy żniwie
Zabłyśną blaskiem światłodajnych słońc,

Na ciemniejszej, lazurowej niwie
Gwiazdy się przejrzą, lekko w falach drząc:
Jak srebrnych sierpów tysiące przy żniwie.

Świat pograżył się w ciszy...

Wtem na morze śpiące

Zrywają się szalone, żywiołowe pęta,
Wściekłych wichrów-tajfunów pędzą wnet tysiące,
Rozpoczyna się burza na morzu — zacięta,
Tak posepna, że nawet już nie krwawi słońce.

Szalone, rozhukane, wzbierające fale
Szumią kędyś burzliwie, pędzone wicherem
W zatracenie, nicości, czerń, głębie, oddale... —
Płynąc przez morskie głębie drogą bylektóra,
Utworzyły wraz w wichrem chór wyjący żale.

Żale z akordem gromów wyjące złowrogo,
Z rykiem zawiei, szumem, pluskiem dzikich fal
Zwyciężyć, zda się, wszystkie chóry świata mogą,
Zwyciężyć i przekrzyczeć — wyjące swój żal
Z niczem nieokiełzaną, dziką wściekłą trwoga.

Piorunów deszcz ognisty zlewa się ku ziemi,
Obracając palącym tchnieniem wszystko w pył,
Bijąc ognistym węzem z ryki przekłętymi,
Że niema już na ziemi tak potężnych sił,
Coby zeprzeć się z burzą mogły barki swemi!

— Zwycięstwo! wyje dumnie żywiol rozszalały —
— Victoria: jam zwyciężył!... Gromowładne głosy
Oślepiony nicością próżnej swojej chwały,
Błuźniąc, ciska wyniośle pod jasne niebiosy.
Wmniemaniu swem potężny, w istocie — tak mały!

Echo ryków bluźniercy zlewa się potężnie
I, płynąc w groźnej pieśni, sięga wnet do Boga;
Zda się, że każdy mocarz zwyciężony łącznie:
Przed groźną siłą burzy rozbudza się trwoga —
Echo ryków bluźniercy zlewa się potężnie.

Lecz... spójrzcie! Co za postać stąpa tak powoli,
Nieustraszenie, pewnie pośród fal zamętu,
Pośród igraszek morskich i dzikiej swawoli,
Stopami dotykając ledwie fal odmętu,
Wysoka, smukła postać stąpa tak powoli.

Już echa dumnych pieśni żywiolowych trąb,
Które ryknęły głosem, co zatrwożył świat,
Ścichły nagle i martwo wcisnęły się w głąb,
Rzucając w przerażeniu wściekłości swej kwiat.
Już zmilkły echa pieśni żywiolowych trąb.

Fale, szemrzące cicho, ścielą się do nóg
Postaci tej, co kroczy tak pewnie, bez trwogi,
Nie rozumiejąc nawet, że to stąpa Bóg,
Ścielą się, tworząc gładki, szeroki pas drogi,
Fale, szemrzące cicho u Chrystusa nóg.

Burza ucichła. — Spokojna toń morza
I odbłask słońca, które fale złoci
Mówią, jak wielka jest potęga Boża,
Jak nieskończony ocean dobroci...
Zwycięzca wichrów zmógł potęgę morza!



HOSANNA!

Słońce wstało dzisiaj promienne, jasne, złote... Uśmiechnęło się ku światu całemu tak pogodnie i wesoło, że każdemu było nietrudno odgadnąć zapowiedź czegoś niezwykłego i wielkiego, co właśnie miało się przydarzyć. Rozpoczął niebieski gospodarz swą codzienną ponad światem wędrówkę, ale radośniej jakoś i uroczyściej, niż zwykle.

Ożywił się cały świat.

Ożywiły się sutereny posępne i mroczne...

W jakiejś norze czarnej i wilgotnej, co w ruderze nawpół rozwalonej i zniszczonej pod schodkami znajdowała swe wejście, ożywiło się także: i tam promień słoneczny zawitał.

Przez mały, kwadratowy otwór, który powstał przez wyrwanie kawałka deski w schodkach, wyzierała czarna czeluść. Stamtąd właśnie dochodziło czyjeś mruczenie, czy jęki.

Po chwili ukazała się w otworze głowa, pokryta rudemi, kudłatemi kędziorami, a z pod czupryny niesfornych włosów wyjrzała twarz małego chłopaka. Brzydka, piegowata, brudna twarz.

Z rozkoszą wpatrywał się chłopak w słońce i z uśmiechem przymykał powieki podczas, gdy promienie słoneczne złociły mu rzęsy. Rozwarł

naraz gwałtownie powieki i spojrzął w żar słoneczny: złotą strugą buchnęły jasne promienie. Chłopiec uśmiechnął się ku słońcu.

Poczem cofnął głowę swą do ciemnej nory. Po chwili ukazały się w otworze dwie drewniane kule. Chłopiec wyrzucił je na bruk ulicy, a następnie sam prześlizgnął się z trudem przez ciasne przejście. Poczłgał się ku leżącym na kamiennym bruku kulom i powstał z trudnością.

A potem, wspierając się na kulach, wolno pokulał przed siebie — ku centrum miasta.

Biedny był ten Chaimek-sierota. Matka dwa lata temu opuściła ziemię, ojca nie znał wcale. Mały Chaimek nie wiedział, co czynić po śmierci matki. Kaleką był, bo lewą nogę miał uschniętą; był sierota, bo matka mu umarła. Żył więc, jako ptak samotny i bezradny, mieszkał, a raczej sypiał w norze jakiejś ponurej, żywił się tem, co uzebrał przez dzień cały.

A tak biegał tylko o kulach po mieście, zapomniany i pogardzany przez wszystkich, i życie snuło mu się pełne cierpień, smutków i cierni...

Piekielnym żarem bucha blask słoneczny. Piaszczystą, pylną drogą posuwa się grupa ludzi. Idą spokojni, cisi, poważni. Myślałby kto, że to kupcy, a pochód ten — karawana, lecz brak im wielbłądów, a tylko oślicę i ośłę wiodą ze sobą;

brak im tłumoków, pakunków, towarów, a tylko niektórzy z nich złożyli na oślicy swe szaty.

Nie karawana to, lecz spokojny, godny pochód, to wjazd raczej triumfalny.

Zdała zamajaczyły wyniosłe mury Jerozolimy, które coraz się zwiększały i z każdą chwilą malowały się wyraziściej na horyzoncie.

Ale i gromada, która z początku była tylko grupą kilku ludzi, zwiększała się i rosła, jak rzeka, która, płynąc, coraz nowe zbiera w siebie wody i rozlewa się szerzej i potężniej.

Dochodzili już do bram miasta. Wokół widać twarze rozumne i poważne, oczy głębokie, uduchowione, usta rozchylone w modlitwie.

Na przodzie, na ośleciu, które nigdy jeszcze brzemienia nie nosiło na sobie, jedzie człowiek wysoki, kształtny. Obfite pukle jasnych włosów spadają mu na ramiona, okrywając jakby płaszczem. Oczy, błękitne, przepiękne, marzycielskie oczy utkwione w przestrzeń i widzące to, czego wokół idący nie widzieli. Ze szlachetnych, szczerych ust bije mądrość, siła i potęga, bije dobroć, laskawość, miłosierdzie.

Wolnym, majestatycznym krokiem pochód sunie naprzód.

Tłum wokoło drogi zbiera się coraz większy, tworząc jakby szpaler, którym posuwa się gromada podróżnych.

Już pochód przestąpił bramy miasta. Tłum zafalował, rozkołysał się rytmicznie i nagle buchnął ze wszystkich piersi okrzyk wielki, potężny i silny:

— Hosanna Synowi Dawidowemu!

Okrzyk chóralną pieśnią wzbił się ponad miasto i objął wszystkich usta:

— Hosanna! Hosanna!

Zdało się, że milczące zwykle mury, budowle, świątynie, ogrody, parki, nawet słońce, wołają dzisiaj w jakimś okrzyku weselnym i potężnym:

— Hosanna! Hosanna! Hosanna!

A Chrystus jechał powoli na osiołku, wstępował do miasta jako ojciec dobry i pan najmiłościwszy. Zatrzymywał się co chwila, przystawał. To kładł dzieciom swe dłonie na ich jasne główki i błogosławił, to ręce wyciągał i uzdrawiał chorych.

Wokół tłupy radośnie śpiewały hymn weselny, zefirek poruszał liśćmi palm, szumiąc radośnie, osiołek parskał i prychał.

A lud słał swe płaszcze Chrystusowi pod stopy i rzucał wonnem kwieciem i klękał przed Panem, śpiewając:

— Hosanna! Hosanna!

Tak witała córka Syjonu swego Zbawcę, aby Go następnie, ubiczowawszy, na śmierć wydać i ukrzyżować.

Chaimkowi dzień się dłużył niezwykle. Czas mu tak wolno upływał, chwile zamieniały się w lata. Słońce żarem piekielnym przygrzewało, głód męczył nieznośnie, dopominając się choć o łyżkę stawy.

Chaimek porzucił to brudne i cuchnące przedmieście, gdzie w ciemnej norze, która była jego schronieniem, noc przespał i pokulał w kierunku dzielnicy, gdzie zbierał się teraz lud cały, aby widzieć triumfalny wjazd Chrystusa. Wcześniej jeszcze, bo na długo przed południem już duży tłum stał w oczekiwaniu na Chrystusa. Wokoło zieleniły się liście palm, pachniały kwiaty, wiaterek poruszał szaty i płaszcze, które szumem swym kojarzyły się z pieśnią ludu.

Chaimek, kulejąc, wmieszał się w głąb tłumowi. Opodal stali starzy, brodaci Żydzi, najbogatsi z pośród wszystkich, a między nich wchodziły się kobiety, świętecznie ubrane i strojne. Chaimek zaś znajdował się wśród Żydków najbiedniejszych, takich, co ciężko na chleb swój zarabiali. Ale i ci odwracali się od niego ze wstrętem.

Chaim wsparł się na kulach i odpoczywał; zmęczyła go droga od nory aż do dotąd.

Niedługo mógł odpoczywać. Wdali ukazały się barwne szaty tłumowi: pochód się zbliżał. Oto już przestępują bramy miasta. Chaimek wyprę-

zył się z całych sił, wznosił się w górę, aby coś dojrzeć i... zobaczył!...: Chrystus pochylił się niżej. Chaimek dostrzegł, jak Chrystus wyciągnął swą rękę nad Szymselem, który sparaliżowany leżał na noszach, a jednak kazał się wynieść, gdy Chrystus będzie przechodził. Chaimek widzi, jak Chrystus wyciąga ponad głowę Szymse-la swe ręce i oto... Chaimek zaledwie oczom swo-im uwierzyć może, tak wydaje mu się to dziwne i nieprawdopodobne: Szymseł zrywa się z no-szów i rzuca się na kolana przed Chrystusem. Ten Szymseł, który od lat wielu o własnej sile postą-pić nie mógł ni kroku!

Chaimek dostrzegł jeszcze kłęczącego u stóp Chrystusa Szymseła, a w tej chwili tłum zaśpie-wał radośnie pieśń dziękczynną. Chrystus po-szedł dalej.

Chaimek zapalał naraz ogniem niezwykłym, poczuł, że serce mu płonie wiarą. Chaimek, któ-ry tyle czasu nie interesował się wcale i nic nie wiedział o tym Człowieku, dzisiaj triumfalnie wjeżdżającym do miasta, uwierzył, że Czło-wiek ten jest zdolny go uzdrowić. Chaimek całą duszą myśli tylko o tem. Nie wie, co mówić, nie wie, jak modlić się ma do Chrystusa. Szepece więc tylko w myśli: „wierzę, Panie, że Ty tylko uzdrowić mnie zdołasz, że Ty dasz mi siły, i moc, i zdrowie...”

Chaimek czuje, że w sercu rozpala mu się jakiś potężny ogień, rozlewa się jakaś słodycz wielka i miłość.

Chaimek wierzy, a wiara góry przenosi.

Chrystus zbliża się już do Chaimka.

Zafalowały tłumy w uniesieniu jakimś radosnem, wybuchła pieśń wielka i potężna, co z serc prosto płynęła i z dusz.

— Hosanna!

Rzucili się wszyscy ku Chrystusowi, płaszczą Mu słać pod stopy i wonne rzucać kwiecie.

Jak powódź wali się silna i niezmierna, która wszystko zrywa, obala i rwie, tak tłum w uniesieniu i zapale wyrwać chciał swe serca z piersi i rzucić je pod stopy Panu. W tłoku nie zauważono małego Chaimka, który, słaby, nie mogąc oprzeć się tłumowi, uległ i padł na ziemię. Poczuli jeszcze, jak kilkadziesiąt stóp poczęło po nim deptać, a wkońcu ogarnęła go tylko ciemność.

A tłum słał kwiaty pod stopy Chrystusowi i wołał: Hosanna!

Chaimek poczuł chłód. Otworzył z wielkim trudem oczy; przez maleńkie szparki przymrużonych powiek dostrzegł, że leży na bruku, a wokół niego niema nikogo. Czerwone kontury domów wskazywały, że zbliżał się zachód słońca Chai-

mek chciał poruszyć ręką, ale poczuł w niej straszny ból; uniósł nieco głowę i widzi, że całe ciało ma spuchnięte i zranione. Z trudem oparł się na łokciu i, ująwszy kule, leżące obok niego, usiłował powstać. Nie zdołał za pierwszym razem, po wielu dopiero usiłowaniach stanął. W oczach ciemniało mu, ból przeszywał ciało, wracała mu przytomność.

Nie, to niemożliwe, by najmiłościwszy Chrystus go ominął i opuścił! Pewno nie wiedział nic o Chaimku, a tem mniej, że chłopiec przyszedł błagać Go o zdrowie, że upadł w tłumie i zemdlał...

Z trudem pokulał w stronę przedmieścia, tam, gdzie stała rudera, w której sypiał. Każdy krok przychodził mu z trudnością, wywołując niesłychane bóle i cierpienia. Na placu targowym dostrzegł Chaimek starą Bajłę, która rozmawiała z Ryfką, swą sąsiadką. Bajła miała przed sobą koszyk, pełen brązowych, dobrze wypieczonych, jeszcze ciepłych chał. Chaimek nie mógł opanować uczucia głodu. Odczuwał mdłości, robiło mu się słabo. Cicho, nie czyniąc stukotu o bruk drewnianymi kulami, przyciśnięty do ściany, pełznął w kierunku koszyka. Głód i strach przyprawiały go o drzenie. Chłopiec pełznął, przysuwając się coraz bliżej i bliżej do koszyka. Bajła krzyczała coś na głos, usiłując przekonać Ryfkę. Chaimek dotykał już ręką brzegu koszy-

ka. Wtem stado ptactwa, siedzącego na bruku, frunęło w górę. Obie kobiety odwróciły natychmiast głowy w drugą stronę. Chaim zmartwiał ze strachu. Rychło jednak opanował przerażenie, pochylił się nad koszykiem, chwycił łapczywie pierwszą lepszą chałę z koszyka i począł umykać w pośpiechu, potykając się i kulejąc. Bajla krzyczała coś do Ryfki.

Późno wreszcie dotarł Chaimek do rudery, odnalazł pod schodkami wejście i wczółgał się do nory. Tam rzucił się na kupę śmieci, która stanowiła jego łóżko, i począł z radością odpoczywać. Powoli rozmarzał się coraz więcej i z rzewliwością wspominał Chrystusa. „Jaki On dobry, pomyślał, jaki łaskawy, jaki miłosierny...”

Nastała cicha, spokojna, ciepła noc. Chaimek leżał na barłogu i myślał o słodkiej chałe, o Bajli, która tak smacznie potrafi przyrządzać pieczywo, o ptakach, które odwróciły uwagę Bajli od niego, o Szymszelu...

Cicha, ciepła noc poczęła otulać Chaimka. Chłopcu wydawało się, że ptaki mają uschnięte nogi i chodzą o kulach, że każdy z nich porywa chałę z koszyka Bajli, a naraz zza rogu wypada Szymszel i koszykiem nakrywa Chaimka. A później wszystko zaczęło krążyć w coraz szybszem tempie i Bajla, i chały, i koszyk, Szymszele, ptaki: wszystko. Nawet Chaimek uczył, że krąży wokół słońca, które jak niezmierna góra rosło

coraz bardziej i obejmowało Jerozolimę, Palestynę, Rzym, cały świat... A potem uczynił się ogromny blask.

Chaimek zasnął.

Gdy nazajutrz jasny promień słoneczny budził Chaimka, chłopiec leżał spokojny i cichy i uśmiechał się ku słońcu.

Dzisiaj było Chaimkowi tak jakoś ciężko i trudno wstać, że leżałby z rozkoszą. Obolałymi rękami począł przesuwać po lewej, nieuschniętej nodze. Uczuł straszny ból. Wyteżył wzrok i dostrzegł, że lewa noga była o wiele szersza i większa, niż zwykle: napuchła. Napuchła tak, że chłopiec nie mógł nawet dłońmi objąć swej wychudłej nogi. Uczuł, że nad kolanem jest rana i sączy się z niej kroplami krew. Chaimek leżał w bezruchu. Czuł w ustach słodki smak chały i z rozkoszą mlaskał językiem. Było mu tak dobrze leżeć na tym barłogu i nie kaleczyć swych stóp o kamienisty bruk.

Chaimek leżał i myślał. Myślał o Chrystusie, Którego pokochał za to, że wrócił staremu Szymszelowi utracone zdrowie, że jest taki dobry i piękny, że, jak powiedział, kocha cały świat, a najwięcej tych małych i biednych. Chaimek poczuł się szczęśliwym: jego też kocha Chrystus. A więc to, co myślał, że przez nikogo nie jest kochany — to nieprawda! Jest ktoś, kto go miłuje:

ktos tak wielki i dobry. Chaimkowi się wydało, że Chrystus to nie człowiek, lecz ktoś, kto jest ponad człowiekiem: potężniejszy, mądrzejszy, lepszy... Chaimek nie umiał nazwać Jezusa.

I znowu jedną więcej wędrówkę przebyło słońce.

Nadszedł wieczór.

Chaimek marzył. Dzień cały przeleżał w tej norze, lecz dobrze mu jest tutaj i wygodnie. Nie dokucza zraniona noga, tylko puchnie coraz bardziej, ale to wcale nie boli; nawet głód nie daje się odczuwać.

Chaimek zmrużył oczy; uczyniło mu się przyjemnie; chłopiec pograżył się w półsen.

Było zupełnie ciemno, gdy się przebudził. Czuł straszny ból w kolanie, noga była sztywna i tak wyprężona, że chłopiec nie mógł nią wcale poruszyć. Ręce bolały go, jakby kto kości przełamywał w stawach. Głowa pałała ogniem, a w ustach czuł gorzką ślinę, którą z wielkim trudem przelykał. Z czoła spływały mu krople potu i wiły się po policzkach, po ustach, po piersiach. Odczuwał pragnienie, które paliło mu żarem wnętrzości, a nie miał skąd wziąć kropli wody. Zlizywał więc z chciwością i pragnieniem krople potu, które spływały mu po ustach.

Niepokój jakiś targał jego duszą, niepokój dziwny, niezwykły.

Chaimek drżał. Cierpiał wprawdzie bardzo, ale cierpienie nie było przyczyną jego przerażenia, tylko ten niepokój, ta trwoga wewnętrzna.

Spokojnie płynęły minuty cichej, letniej nocy.

Chaimek wyprężył się w niezmiernym bólu i leżał w śmiertelnym bezruchu: cierpiący i cichy. Nagle myśl jakaś przedziwna odwróciła umysł jego od cierpień: Chaimek wspomniął Chrystusa, który uleczył sparaliżowanego Szymszela i tylu, tylu innych.

— Może On tu gdzie niedaleko? — pomyślał. I istotnie nie mylił się wiele: Chrystus był przy nim.

Chaimek cicho wyszeptał, zdobywając się na ostatni wysilek, aby poruszyć jeszcze ustami.

— Panie, wierzę!... cichym szeptem pobiegło w przestrzeń, ku gwiazdom, które błyskały na niebie, widoczne z nory przez szczelinę w schodkach.

Chaimek wyteżył wzrok: zdało mu się, że w ciemności ujrzał wyniosłą postać Chrystusa. Cicho, bezszelestnie pochylił się nad słabnącym Chaimekiem, wzniesioną dłoń oparł na rozwichrzonych chłopca kędziorach. Chaimek uczył, że już nie cierpi. Chrystus stoi obok niego, dłoń wspierając na chłopca bujnej czuprynie, a Chaimek teraz taki zdrowy, radosny, szczęśliwy...

Chaimek uczuł jeszcze, że szczęście jego nie skończy się nigdy, że ogarnia go teraz jasność wielka, potężna, nieskończona...

Nad Jerozolimą czuwała cicha, ciepła noc.

Gdy nazajutrz promień słoneczny budził, jak co ranka, małego Chaima, chłopiec leżał pogodny i cichy, tylko wydało się, że na ustach zastygły mu słowa pieśni weselnej:

— Hosanna!

Nad Jerozolimą wstawał złoty świt.

FARYZEUSZ I CELNIK

Stary rabbi Noe targał z zakłopotaniem długą, ryżą brodę, w której pojawiały się już nitki siwych włosów. Starcze, zorane czoło pokryły zmarszczki, łączące się w długą, szeroką brózdę, przebiegającą czoło od skroni do skroni. Przenikliwy, iskrzący wzrok utkwił w twarzy Cipy, swej małżonki, która słuchała męża z niemym podziwem.

— Ha, Kaifasz się stara. Hoho — dobrze się stara: zastawia sidła... Dość nam już tego obmierzłego samochwała i bluźniercy. Niweczy nasze faryzejskie plany, buntuje i burzy lud, psuje interesy...

Zajęty przedmiotem swej mowy nie zauważył, jak z sąsiedniej komnaty wysunęła się z mroku postać chłopca i Natan, dwunastoletni syn rabbiego, stanął za ojcem.

Noe mówił dalej, zniżając nieco głos:

— Omotamy go jednak zręcznie: Kajfasz już to potrafi. O, on ma głowę do tego: Jehowa nie poskąpił swemu słudze rozumu.

Faryzeusz przybliżył twarz swą do twarzy Cipy i szeptem czynił jej jakieś wyznania. Chwilami tylko dawały się słyszeć pojedyncze wyrazy, jak: wieczorem, jutro, Judas, pojmać...

Wtem Noe uczył, jak czyjeś drobne usteczka dotykają jego policzka: Natan stał, obejmując ojca swymi rączynami. Noe przycisnął go do siebie z miłością. Rozmarzone dziecko szepnęło: „Mądry, jesteś, tato, jak sam król Salomon“. Rabbi odniósł Natanka do łóżeczka i szepnął: „Śpij“. A potem dorzucił tkliwie: „synku!“ — Natanka otoczyła cisza i opanowała senność. Ojciec wrócił do przerwanej z matką rozmowy.

Nazajutrz rankiem słońce świeciło pogodnie, jak zwykle. Natan wyszedł na podwórko, aby pobawić się i poigrać ze swymi rówieśnikami równego pochodzenia.

Zastał tylko Abirona, który budował most z patyków i piasku. Natan zbliżył się do towarzysza.

— Co robisz? Nie wiesz, gdzie Enoch? Gdzie Berek?

— Zaraz przyjdą — odrzekł Abiron, który właśnie układał przęsło mostu, oparte na dwóch patykach.

— Ty nie umiesz! — zawołał Natan — ja ci pokażę! — Wziął od Abirona drewnianka i ostrożnie ułożył je na kamieniach.

— Nie rusz! Nie rusz! — krzyczał na Abironka, który chciał mu pomóc. — Nie rusz, bo zepsujesz!

Abiron nie odezwał się: czuł wyższość przyjaciela nad sobą. Natan spojrział z lubością na swoje arcydzieło: most wzniesiony przez niego był mocny i ładny.

— Zrób tu koryto, Abiron, a ja przyniosę swoją łódkę, będziemy ją puszczać pod mostem! — zawołał.

Chwilę później obaj chłopcy przynosili w wiaderkach wodę do zagłębienia w piasku. Na utworzonej w ten sposób „rzece“ puścili czółenka.

— Patrz, patrz, jak płynie!

— O, o, widzisz? Teraz przystaje przy brzegu. O, znowu płynie! Zaczepiło się pod mostem! — wołali naprzemian.

Zajęci swą zabawą nie dostrzegli wcale, że ukazał się na podwórku jakiś chłopiec, biednie ubrany, który przyglądał się im z podziwem. Natan zauważył go pierwszy.

— Kto to? — spytał Abirona.

— Lejzor, syn tego celnika, Sruła.

Natan wydał pogardliwie usta.

— Celnika...?

Lejzor tymczasem przybliżył się nieśmiało do łódki, która zatrzymała się pod mostem, i z podziwem dotknął zabawki.

Dostrzegł ten ruch baczny na wszystko Natan.

— Precz! — zawołał — wynoś się stąd! —
I pobiegłszy do Lejzorka, kopnął go nogą z pogardą.

— Precz!

Usunął się na bok biedny Lejzorek. Przełknięty, milczał, bojąc się i nie śmiejąc powiedzieć słowa na swą obronę.

Na krzyk swego dziecka nadbiegła Cipa.

— Co? On śmiał! Tate go ukarze! Co? On ważył się tu przyjść? Bezczelnik! On za to dostanie! Solą w oku jest mi ten ordynarny celnik!

Poczem zwróciła się tkliwie do dziecka:

— Nie płacz, Natanek. Za to dziś wieczór pójdziesz gdzieś ze mną, będziesz świadkiem ciekawego widowiska i zobaczysz, jaki nasz tate jest wielki i mądry.

To mówiąc, zabrała Natanka do mieszkania.

Na piasku podwórka widać było odcisnięte ślady stóp Abirona, który biegł do swych towarzyszy opowiedzieć im o zuchwalstwie Lejzora.

Wieczór zapadł już i pierwsze godziny ciepłej nocy płynęły monotennie i cicho.

Wtem milczenie przerwały odgłosy kroków, a mroki rozświetlił blask pochodni.

Wśród krzewów i drzew można było dostrzec gromadę, zbrojną w kije, drągi i miecze.

Liczni słudzy kapłańscy, co byli pośród gromady, trzymali zapalone pochodnie; na czele szedł człowiek jakiś, który nerwowo rozglądał się wokoło. Minęli już potok Cedron. Gromada zatrzymała się w milczeniu. Ledwie było słyhać, jak Judasz szepnął do starszego nad sługami:

— Którego pocałuję, tenci jest. Imajcie go, a wiedźcie ostrożnie.

Cipa pchnęła lekko Natanka naprzód.

— Chodź! Teraz zobaczysz coś ciekawego.

Trzymając go za rękę, przeszła pośrodku tłumu żołdaków i sług, którzy ustępowali jej z drogi z szacunkiem, i stanęła w pierwszym szeregu. Naprzeciw gromady zstępował z góry mąż poważny, mając obok siebie trzech towarzyszy.

Ujrzawszy ich Judasz, wyszedł im naprzeciw, a zbliżywszy się do jednego z nich, pokłon Mu oddał, usta swe zbliżył do Jego lic i pocałunek na nich złożonywszy, rzekł:

— Bądź pozdrowiony, Mistrzu.

I było w jego głosie brzmienie niezwykle, ton jakiś zgrzytliwy, że obecni drgnęli.

A Chrystus odpowiedział:

— Judaszu, pocałowaniem wydajesz Syna Człowieczego.

A zwróciwszy się do gromady, zapytał:

— Kogo szukacie?

Odpowiedzieli Mu:

— Jezusa Nazareńskiego.

A On opuścił niżej głowę, spojrział na uzbrojoną i prawie dziką gromadę i rzekł:

— Jam jest.

Natanek uczył nagle, jak siła jakaś niezwykła pcha go ku ziemi. Nie wiedział, co czyni, lecz zgiął bezwolnie kolana.

Jak grom, co potężnem brzemieniem bije w przestrzeń i wzbudza przestach i trwogę, tak dwa słowa Chrystusa tłum cały do ziemi przygięły i rzuciły Mu do stóp.

Natanek wypuścił rękę matki z swej dłoni, padł na ziemię, a w sercu swem uczył tylko przerażenie.

Czy ten Jezus Nazareński nie ukarze ich za zuchwałość?

Czy ziemia nie zadrży w posadach?

Wokół Natanka klęczy cały tłum żołdaków, gromada sług kapłańskich, rzesza tych, co przyszli, jako świadkowie, a On stoi milczący, poważny i nieruchomy.

Natanek chce wstać, lecz czuje, że nie ma siły, aby zrobić chociaż jeden ruch ręką. Chce podnieść głowę, lecz boi się, że jego oczy spotkają wzrok Jezusa, i wstyd mu podnieść głowę.

Natanek drży z obawy, uczuwa, jak występują mu na czoło zimne krople potu, czuje, jak dreszcz lodowatą iskrą przebiega jego ciało od mózgu do stóp.

A nagle daję się słyŝeć powtórnie głos Chrystusa:

— Jam jest.

Jak echo piorunu, tak słowa te padają nad głowy obecnych i dźwigają je z siłą niewidoczną, wszechpotężną ku górze.

Natanek sam nie wie, jak powstaje teraz, nie wie, skąd siła ta niezmierna, co go dźwiga. Z trwogą spogląda na twarz Chrystusa, ale nie dostrzega przewidywanych iskier gniewu. Widzi tylko twarz Chrystusową dobrą i łagodną, widzi Jego piękne, ciemnoniebieskie oczy. Natanek tak wpatruje się w źrenice Chrystusowych oczu, które całą głębie mądrości i wielkości zawierają w sobie, że nie słyŝy już słów Chrystusa, nie słyŝy wycia tłumu. Dostrzegł tylko, jak Szymon Piotr, uczeń Chrystusowy, dobył kord z za pasa i jednym ruchem odciął Malchusowi, słudze kapłańskiemu, ucho.

Natanek widzi, jak Chrystus odcięte ucho przykłada do skrwawionej głowy i, o dziwo, ucho przyrasta, a po ranie niema żadnego śladu. Natanek widzi, ale nie zdaje sobie z tego sprawy. Dla niego cały świat teraz nie istnieje, matka, która gdzieś w tłumie pozostała, a raczej z tłumem odeszła, ojciec, co mądrością dorównywa Salomonowi, majątek, złoto, które w okrągłych monetach płynie ojcu do rąk, płynie nieustannie i niśnie w szerokich ojca kieszeniach dla niego, dla

Natanka. Natanka nie obchodzi teraz cały jego świat: zabawki, kołczy, łódka, ani most, który tak ładnie zbudował.

Natanek myśli o pięknych i dobrych źrenicach Chrystusa, które mają w sobie moc i życie.

Blask pochodni już słabnie, tłumy odchodzą, prowadząc na sąd skrępowanego Jezusa, a Natanek śpi nieruchomy, zastygły w bezruchu.

Powoli odzyskuje przytomność. Wydaje mu się, że obudził się z jakiegoś długiego snu.

Dostrzega, że jest sam w pustym lesie, dalej rozciąga się wieś Getsemanja, przed nim szemrze po kamykach Cedron, a wyżej czernieje w mroku góra Oliwna. Natanek odczuwa zmęczenie. Chciałby wrócić do domu, lecz brakuje mu sił. Wyczerpanie tak mu odbiera moc, że poczyna się chwiać. Chwila jeszcze, a upadnie na ziemię. Ale oto nagle podtrzymują go czyjeś ręce.

Natanek wyteża wzrok.

— Ktoś ty?

Nieśmiało brzmi odpowiedź: „Lejzerke“.

Natanek już nie kopnie Lejzorka. Natanek go nie odepchnie od siebie z pogardą. Natanek teraz wie, że ten Lejzorek, syn ubogiego celnika, jest takim samym chłopcem, jak on, dziecko kapłana Noego.

Natanek wie, że wystarczy jedno spojrzenie Chrystusa, aby Lejzorkowi i jemu ugięły się ko-

lana, tak, jak ugięły się całej gromadzie żołnierzy, wszystkim obecnym, nawet matce Natanka.

Natanek wie, że jedno Chrystusa spojrzenie może więcej, niż potęga wszystkich kapłanów. Jak to jest, że jeden człowiek silniejszy jest od tysięcy — Natanek nie rozumie. Natankowi przykro teraz, że tak niedobry był dla Lejzorka. Natanek jest mały i głupi, ma dopiero dwanaście lat, ale we wzroku Chrystusa wyczytał, że władza jego ojca, majątek, złoto, mądrość jego rodziców niczem są. Natanek rozumie, że wobec Chrystusa jest on tak samo nędzny, jak ten Lejzorek. A może nawet i gorszy?

Natanek teraz rozumie, że jest niczem. Wspiera się mocniej na Lejzorka ramieniu i szepcze cichutko, bo sił mu brakuje, aby mógł wymówić głośniej:

— Lejzerke. Ty nie gniewasz się na mnie, prawda? Ja cię przepraszam — przebacz mi...

Wstyd nie pozwala mu więcej mówić.

A Lejzorek otoczył ramieniem słabe ciało Natanka i przycisnął go mocno do siebie i powiedział:

— Nie gniewam się, Natanek, nie gniewam

I ja też byłem i widziałem, jak tłum cały na dwa słowa Jezusa padł Mu do stóp i widziałem, jak na jedno Jezusowe spojrzenie powstał znowu. Widziałem, jak ty padłeś na kolana i ja też oddałem Chrystusowi pokłon. I wierzę.

Skończył Lejzorek, a Natan cichutko szepnął mu do ucha:

— Ja także wierzę.

Księżyc bladł już i na horyzoncie jaśniała purpurowa zorza, kiedy dwaj mali chłopcy, synowie jeden faryzeusza, drugi celnika, padli sobie w objęcia i pocałunkami składali na swych policzkach pieczęcie nowozawartej, wieczystej przyjaźni.

NUCHIMEK

Słoneczny, upalny dzień. Jasne promienie ziejącego żarem słońca zalewają nieprzerwanym potokiem płaskie dachy domów, tarasy pałaców, kopuły świątyń, wyniosłe wieże, poszczerbione mury i szary pył, wznoszący się na drodze tumanami. Ulicami miasta przewala się tłum ludzi, rozkrzyczany jakiś, gwałtowny, anormalny. Zbliża się południe, słońce wznosi się ku zenitowi, tłum wylega na główną ulicę, prowadzącą za miasto, w oczekiwaniu na jakieś widowisko, czy na jakiś pochód. Wokół widać rozgorączkowane twarze, rozpalone blaskiem oczy, rozwichrzone czupryny, wymachujące ręce. Wokół słychać krzyki dysput, sprzeczek, klótni.

Wyczuwać się daje, że ma się stać coś niezwykłego, o czym nie słyszano od wieków i o czym po wieki mówić będą.

Nagle nad wrzawą wzburzonego miasta wybił się wielki okrzyk, podobny do radosnego wycia:

— Idą!

— Idą! — powtarzali jedni drugim.

— Idą! — wykrzykiwały kobiety o rozrzuconych, potarganych czuprynach i dzikim wyrazie twarzy.

— Idą! — wykrzykiwali mężczyźni o grubych, zwierzęcych wargach, z namiętym błyskiem w oczach.

— Idą! — rozbrzmiewało całe miasto.

A zdala posuwał się wolno pochód drogą, wśród dwóch szeregów, wspinających się na palcach ciekawych ludzi, podnoszących swe małe dzieci, aby i one mogły przyjrzeć się widowisku.

Gdy mały Nuchim usłyszał okrzyk, wybiegł ze swego domu, pomimo nawoływań matki, stojącej w drzwiach ubogiego domostwa.

Matka Nuchimka pogroziła tylko kilka razy za uciekającym chłopakiem i, dając za wygraną, powróciła do izby.

Nuchim tymczasem biegł całą siłą swych młodych nóg, aby zdążyć w porę. Co chwila jednak przystawał, schylał się ku ziemi i, podniósłszy kamień, biegł dalej. Dopadł wreszcie do głównej ulicy. Rozpychając się nogami i rękoma, pchając głową, poszturchując wszystkich łokciami, zaciśniętymi piąstkami wokół bijąc, napół przeciskając się i napół prześlizgując, niekiedy nawet pełznąc po kamieniach bruku, wy dobył się wreszcie z pośród rozfalowanych, dzikich tłumów i stanął na drodze. Ułożył obok siebie kupkę zebranych kamieni i siadł obok niej, wypoczywając po trudnej przeprawie. Niedaleko dostrzegł Aronka, swego najbliższego towarzysza, i Abrahamka,

i Srukla i Samsonka, a dalej stali Symche, ojciec Aronka, i Gedali, wuj Natanka, ściskając w zaciśniętych pięściach kamienie.

Nuchimek dobrze wiedział, poco zebrali oni te kamienie i poco je tutaj przynieśli. Nuchimek wiedział wszystko: i to, dlaczego on także podnosił leżące na drodze kamienie, i to, dlaczego je tu przyniósł; i to wiedział, kto będzie tędy przechodzić, wiedział, poco tu przyszedł i wiedział wrzście, co robi teraz jego ojciec.

Wiedział, dlaczego wyległa na główną ulicę cała Jeruzolima.

Oto mają prowadzić zbrodniarza, który bluźnił przeciw Bogu, nazywając Go swym Ojcem, który głosił się królem żydowskim i świata, który urągał cesarzowi i całemu rzymskiemu cesarstwu, który występował przeciw kapłanom, który buntował i burzył lud, który szerzył anarchję, gwałcił szabas, nie wypełniał ksiąg zakonu i nazywał siebie Bogiem, mówiąc, że zburzywszy świątynię, w trzy dni wystawi nową, obiecując wybawić świat.

Nuchimek wiedział dobrze, że kapłani oskarżyli Go o te wszystkie winy i zbrodnie, że postawiono Go przed sąd Piłata, aby Go wydał na śmierć i Piłat wyrok arcykapłanów żydowskich zatwierdził.

Wiedział mały Nuchim także i to, że ojciec jego, otrzymawszy od Kaifasza kiesę srebra, idzie

za orszakiem skazanego wraz z innymi, wołając: — Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj! — wykrzykując „zbrodnie“ Chrystusa i przeklinając Go.

To wszystko wiedział Nuchimek. Przybiegł więc tutaj, aby z tłumem żydowskim ciskać pod stopy winnemu kamienie i przeklinać Go i po-



Weronika występuje z tłumem, aby otrześć twarz Zbawicielowi.

mścić krzywdy przezeń wybranemu wyrządzone narodowi.

Zdała zabłysły w słońcu kaski i hełmy rzymskich żołnierzy, zaświeciły w słońca jasnych promieniach ostrza dzid i pik, zajaśniały miecze stalowym blaskiem. Pochód posuwał się naprzód, coraz bliżej i bliżej do Nuchimka. Wzmagало się

wycie tłuszczy, wlekącej się za eskortą skazańca. Pochód przysunął się tak blisko, że chłopiec mógł zauważyć, jak idący pod krzyżem przystawał co krok. Oto zastępują Mu drogę płaczące niewiasty i klękają przed Nim. Oto, potknąwszy się pod przygniatającym krzyża ciężarem, pada na kamienie bruku, ale wnet powstaje i idzie dalej. Oto, zbywszy sił, mdleje wyczerpany, ale występuje Weronika i twarz Mu chustą ociera.

A za Nim wyje tłuszcza, ciskają kamieniami, przeklinają Go i oskarżają o niepowszednie zbrodnie, a On idzie niezmienny, pochylony pod krzyżem, cichy i pokorny. Czy błogosławią Mu, czy przeklinają, czy klękają przed Nim, czy urągają Mu, On idzie zawsze jednakowo cierpliwy i milcząco. Zbliża się już do Nuchimka. Zaledwie kilka kroków ich dzieli. Nuchimek spogląda na owego Człowieka z nienawiścią. Wyciąga ręce przed siebie, podnosi ułożone przed sobą kamienie, by je z bluźnierstwami rzucać na Niego. Chce to uczynić, bo nienawidzi tego Człowieka. Chociaż pierwszy raz w życiu nań spogląda, wierzy jednak święcie, że On winien i gotów w tej chwili nawet życiem przyłacić, aby na owym Człowieku pomścić krzywdy, które wyrządził ludowi izraelskiemu i Jerozolimie. Podnosi się tedy powoli z ziemi, ściska w drobnych piąstkach zebrane kamienie i z okrzykiem wściekłości rzuca pierwszy kamień na Chrystusa. Patrzy z rado-

ścią, jak Chrystus odwraca ku Niemu głowę. Oczekuje Nuchimek wybuchu wściekłości zelzonego Człowieka. Oczekuje wymysłów i przekleństw. Czeką, aby sprowokowany wystąpił przeciw niemu, a wtedy lud żydowski ujmie się za Nuchimkiem i zelży Skazańca.

Z niccierpliwością czeka Nuchimek na moment wybuchu; chce nasycić duszę zemstą, chce upoić się znęcaniem ludu nad bezbronny.

Czeka.

Chrystus zaś odwraca swą umęczoną głowę, na której pod cierniową koroną zakrzepły krople krwi. Odwraca swą twarz, okoloną jasnemi włosami i swe ciemnoniebieskie źrenice zatapia w twarzy Nuchimka. Spogląda na chłopca przez króciutką chwilę, oczyma swemi przenika do głębi jego duszę. Patrzy nań z miłością wielką i wyrzutem. Zda się mówić do niego:

— I ty przeciw mnie, chłopczyno? Cóżem ci uczynił?

A Nuchimek płonie się pod wzrokiem Chrystusa, na twarz występują mu rumieńce, nie śmie patrzeć Chrystusowi w oczy. Chciałby spuścić głowę i nie może, tak słodkiem zda mu się spojrzenie Chrystusa.

Nuchimkowi zdaje się, że cichym szeptem dolatuje do niego głos Chrystusa łagodny i cichy, przepelniony miłością i słodyczą:

— Przejrzyj.

Nuchimek sam nie wie, jak uginają mu się kolana, jak klęka bezwiednie na bruku.

Chrystusa niema już, wokół Nuchimka dzieki tylko tłumy, namiętne i wściekle wyjące przeciw Chrystusowi.



Jezus, uzdrawiający chorych.

Chrystusa niema już, odszedł dalej krzyżową drogą po kamieniach, krwawiących Mu stopy, a pozostawił w duszy Nuchimka miłość, i wiarę, i nadzieję.

Chrystus odszedł, ale Nuchimek już nie jest taki, jak dawniej: teraz wierzy, teraz miłuje i ufa.

Ta tłuszcza dzika i namiętna, pośród której się urodził i wychował, wydaje mu się teraz taka

obca, taka zła i występna, a zawsze tak niesprawiedliwa, tak mu w niej strasznie i źle.

Wokół Nuchimka wyją przeplacone sługusy Kaifasza, a on mały, biedny, zły Nuchimek patrzy teraz tam, gdzie daleko ponad błyszczącymi w słońcu kaskami i hełmami rzymskich żołnierzy, ponad świejącymi w jasnych słońca promieniach ostrzami dzid i pik, ponad jaśniejącymi stalowym blaskiem mieczami wznosi się nad całym tłumem wielki, drewniany krzyż i, dźwigany na zboląłych ramionach Chrystusa, ramionami swemi obejmuje świat.

Nuchimkowi zdało się, że ten pogardzony, poraniony, oplwany, bity przez wszystkich, ten występny zbrodniarz, skazany przez arcykapłanów na śmierć, jest wyższy od wszystkich Go otaczających, od tej hałastry, co wlokła się za szeregiem rzymskich żołnierzy, od eskortujących Go Rzymian, od samych arcykapłanów, od Piłata, od samego cezara nawet. Stopami dotyka ziemi, a głowa Jego, cierniową przybraną koroną, gdzieś w błękitach ginie, sięga nieba szczytów, tak, że wielkości tej zrozumieć nie można. Jest jakby jednym, wielkim ogniwem, łączącym ziemię z niebem.

Nuchimek poczuł się tak małym i znikomym, wobec tej wielkości i potęgi Boga, że nie miał nawet słów na potępienie swej winy.

Widział się małym i złym stworzeniem, które największego swego obraziło Dobroczyńcę.

Przejrzał.

Teraz już Nuchimek wierzył, kochał i ufał.

Zrobiło mu się tak przykro i smutno, i tak, jak niegdyś chciał zemsty i upokorzenia całą duszą, tak teraz pragnął ze wszystkich sił, za cenę chociażby życia, wyrwać Chrystusa z rąk oprawców i wrócić Mu wolność.

Podniósł się z klęczek i ruszył biegiem przez ulice Jerozolimy. Minał granicę miasta i biegł na wzgórek Trupiej Głowy, zwany Golgotą. Ale przybiegł zapóźno: na Golgocie stały już trzy krzyże

Właśnie przypadł Nuchimek na wierzchołek wzgórza, gdy Chrystus zwrócił swą twarz męczeńską ku lotrowi, wiszącemu po prawej Jego stronie i wyrzekł:

— Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.

Opodał krzyża żołnierze rzucali kości o szatę Chrystusową. Nuchimek zbliżył się do nich.

— Ach, niedobrzy, ukrzyżowaliście niewinnego!

— Co cię to obchodzi, smyku — odburknął jeden z żołnierzy — idź sobie, skąd przyszedłeś!

Ale Nuchimek nie odchodził, obiecał sobie przecież za wszelką cenę obronić Chrystusa.

— Nie! Nie pójdę! Dlaczego pozwoliliście ukrzyżować Jezusa Nazareńskiego?

— Milcz! Daj, Sewer, temu krzykaczowi biczem, może to poskutkuje.

I jeden z żołnierzy chwycił Nuchimka w pól i uderzył go kilka razy silnie batogiem.

Nuchimek zwinął się pod razami i, płacząc, odsunął się od żołnierzy.

Wyprężony wisiał Chrystus na krzyżu. Ponad głową Jego, okoloną cierniem, na tablicy wyryte, czerniały litery: „I.N.R.I.“. Pod tablicą, na prawe ramię pochylona zwiślała głowa Chrystusa. Ciernie i głogi wpiły się w ciało i krople krwi zakrzepłej karmazynowemi soplami okoliły Mu twarz. Twarz umęczoną, ale nie zboląłą. Zawsze to samo oblicze miłości, te łaskawe oczy, ta dobroć wyryta na boskiem czole.

Nuchimek widział cierpienia Chrystusa, który nie mógł przynieść ulgi rękom, bo wpijały się gwoździe w nogi, ani też pofolgować nogom, bo rozrywały się dłonie. Gdy zaś skrwawioną głowę chciał oprzeć na ramieniu, ostre kolce ciernia wpijały się głęboko w ciało.

Męka była więc straszna. Powiększały ją jeszcze spiekota i żar, które dały się odczuwać nawet żołnierzom, więc pokładli się na trawie, wypoczywając i gwarząc. A Chrystus poraniony i ociekający krwią po biczowaniu, konał — cichy w srogich boleściach.

Nuchimek objął silniej krzyż swemi małemi rączynami i przylgnął doń mocniej, jakby chciał wziąć na swe ramiona cierpienia Chrystusa.

Mały, poraniony przez okrutnego żołnierza, Nuchimek, pragnął dzielić z Chrystusem mękę, pragnął ulżyć cierpiącemu Bogu i na swoje wątłe ramionka wziąć ofiarę krzyża.

Mała, zbłąkana owieczka, która odnalazła swego Pasterza, niosła życie swoje w ofierze Chrystusowi i za Chrystusa!

— Boże, mój Boże, czemuś mię opuścił?

Ciało Chrystusa, rozwieszona na krzyżu, wyprężyło się silniej, głowa opadła na piersi, doszedł szept od otaczających krzyż:

— Wypełniło się.

Słońce poczęło się zaciemniać.

Nuchimek, wijąc się z bólu pod krzyżem, teraz leżał już wyprostowany w bezbolesnym, śmiertelnym śnie.

Cichutko wędrowała jego duszyczka, Chrystusa śladami do raj, korząc się za popełnione winy i bluźnierstwa.

Wystąpiły na niebo czarne chmury i, zasłoniwszy słońce, powlokły żałobnym płaszczem niebo.

Nad Jerozolimą poczynała szaleć burza.

ZBĄWICIEL UMIERA...

Jak nawałnica groźna, czarne pędzą chmury
I szybko się zaciemnia jasna toń błękitu —
Wicher wyje szalony, wściekły a ponury.
Jak nawałnica groźna, czarne pędzą chmury
I szybko się błękitu jasna toń zacierą;
Czernieje tylko napis, wyryty u szczytu
Krzyża, na którym Chrystus-Zbawiciel umiera.

Tłum dziki w przerażeniu i śmiertelnej trwodze
Rzuca się jak szalony, biegnąc gdzieś bez tchu,
Tłoczy się, ścisną wściekły na szerokiej drodze
Tłum dziki w przerażeniu i śmiertelnej trwodze,
Biegnąc w panicznym strachu, gdzie miasto wyziera
Z półmroków nocy czarnej i strumieni dżdżu.
A rozpięty na krzyżu Zbawiciel umiera.

Kręte błyskawic węże przerzynają mroki,
Echo gromów się zlewa w jeden wielki huk,
W piorunów jasnym świetle widać chmur obłoki —
Kręte błyskawic węże przerzynają mroki,
Z chmurnego rwąc się nieba, gdzie z czerni wyziera
Otoczony blaskami zagniewany Bóg.
— A rozpięty na krzyżu Zbawiciel umiera...

W BLASKACH

Stary Laban wydał z piersi swej wychudłej i zapadłej jęk głośniejszy. Widać, chciał coś powiedzieć, lecz zamiast słów, rżenie tylko przesciskało się przez krtani. Mały Josel zbliżył się do barłogu, na którym leżał starzec, i podał ojcu wody. Bezzębnymi ustami chwycił chciwie krople płynu, które przynosiły mu ulgę w cierpieniach.

Istotnie, po chwili leżał bez ruchu, tylko oczy wielkie, przerażone utkwiał w jednym z kątów izby.

Josel zadrżał.

— Kona — pomyślał.

Łzy rześiste obfitym strumieniem puściły mu się z oczu i, spływając po policzkach, kapwały na podłogę, miejscami pokrytą śmieciami i brudem.

Tak samo przed niedawnym czasem umarła mu matka na tę chorobę. Najpierw gorączka wielka, później bóle w dłoniach i rękach, klucie w piersiach, a wreszcie już tylko spokój i cisza.

Josel uczuł potrzebę działania, zrozumiał, że powinien koniecznie ratować ojcu życie, że należy jakoś ulżyć mu w cierpieniach, przynieść pomoc.

Chciał działać, ale nie wiedział jak.

Myśli nawałnicą gwałtowną toczyć się pochyły do jego głowy. Josel wyteżył umysł i gonił

pierzchające myśli. Niestety, nie widział żadnego ratunku, żadnej nadziei.

I patrzeć tak na okropne cierpienia swego oj-



ca i nic mu nie pomóc, nie zmniejszyć jego bóleści, nie przedłużyć życia?

Widzieć, jak kona, i być bezwładnym w swej bezsilności i słabym!

Josel szukał ratunku, czepiał się każdej wątlej nitki nadziei.

Zamknął oczy i, siedząc nieruchomo na zie-

mi, przepędzał długie godziny nocy w duchowej walce i niepokoju.

Nagle zaświtała mu myśl jakaś przedziwna.

Słyszał o człowieku, który tylu chorych uzdrowił i umarłych wskrzesił.

Tak, w nim jedyna nadzieja!

Josel wspomniał, że człowiek ten miał dwunastu uczniów i od nich pragnął się czegoś dowiedzieć o tym lekarzu.

Chociaż noc czarna pokrywała Jerozolimę, chociaż Joselowi kleiły się oczy snem, zerwał się jednak i pobiegł pędem do miasta.

W mroku i ciszy stały ulice Jerozolimy. Gdzie nigdzie tylko dał się widzieć cień przemykającego, spóźnionego przechodnia.

Josel biegł szybko przed siebie, wiedziony niemy instynktem; biegł ratować życie swemu ojcu.

W ciemnościach zamajaczyły nagle sylwety dwóch mężczyzn, przybranych w długie, luźne szaty. Obaj szli dość szybko, oglądając się wokół siebie trwożliwie.

Josel poczuł dziwne zaufanie do nich i postanowił zapytać się ich o cudotwórcę. Nieśmiało przystanął we wnęce muru, czekając, aż nadejdą. Przybliżyli się wreszcie. Josel przysunął się do nich bojaźliwie i przypadł im z płaczem do rąk.

Zatrzymali się. Jeden z nich zapytał:

— Czego chcesz, chłopcze?

Josel odpowiedział głosem przerywanym przez płacz:

— O, panie, powiedz mi imię tego cudotwórcy, co chorych i konających uzdrawia, co umarłych wskrzesza. O, panie, gdzie mam iść, by go zastać?

A jeden z nich odrzekł ze smutkiem:

— O Jezusa Nazareńskiego pytasz? Onci od dwóch dni w grobie jest. Ukrzyżowany, zmarł boleśnie. Ale godzinę swoją zmartwychwstania przepowiedział, wszechmocnym i wiedzącym będąc.

— Do Niego wiedz mnie, panie!

— Idź za miasto, kędy za Golgotą leży Jezus w grobie, drążonym w skale. Tam straż wartuje nad wniściami do grobu, pilnując pieczęci, złożonych na kamiennej płycie, i ciała Jezusa. Tam idź i żołnierzy pytaj o resztę.

To powiedziawszy, otulił się szczerze płaszczem i odszedł śpiesznie z towarzyszem w mrok... —

Josel pozostał sam. Duszę wypełniała mu nadzieja i radość: odnalazł drogę do grobu, odnalazł drogę do Jezusa!

Krwawe blaski rzucalo płonące jaskrawo ognisko i w stalowych mieczach rzymskiej straży błyszcząco płonąca luna.

Josel zmrużył oczy pod wpływem tego blasku i nieśmiało zbliżył się do ogniska.

Któryś z żołnierzy zajął się chłopcem.

— Czego chcesz, mały?

Josel powiedział im wszystko.

Żołnierze wybuchnęli wielkim, niepołamanym śmiechem. Nakoniec jeden z nich, widząc starszy, powiedział:

— Siedź pod skałą, tylko nie ruszaj pieczęci.

— A czekaj sobie tu i pilnuj, aż martwy, poraniony trup powstanie.

Każdy z żołnierzy dorzucił jakieś słówko, zaczęli opowiadać sobie trywjalne anegdoty i kpić z wystraszonego chłopca, który wcisnął się w załom skały i począł marzyć.

Odczuwał, że tam, tak blisko niego, o płytę tylko jedną oddzielony, spoczywa Jezus, Który może nawet śmierć zwyciężyć i pokonać życie.

Powoli ognisko zaczęło wygasać i żołnierze pokładli się do snu, tylko jeden z nich pozostał na straży.

Cicha noc, której nie przerywał żaden hałas prócz chrzęstu zbroi czuwającego strażnika, dobiegała końca.

Josel zasnął...

Wtem, wśród głuchej ciszy ozwał się huk piorunu i Josel, zbudzony gwałtownie, dojrzał, jak skały, zasłaniające wejście do grobu, usuwają się, nie naruszając jednak pieczęci.

Wielki i silny blask promieniejących słońc oślepił Josela. Chłopiec usłyszał jeszcze krzyki i nawoływania przerażonych strażników, a potem panowała tylko cisza.

Chłopiec padł na kolana i uczuł, jak poczyna go ogarniać jasność niezmierna.

Zrozumiał, że on, mały, biedny Josel jest w słońcu. Chciał zamknąć powieki, aby uchronić źrenice przed tym blaskiem, gdy pośród promieniejących jasności dojrzał wysoką, smukłą postać.

— Panie, gdzie jest Jezus Nazareński?

Cichy, nabrzmiały miłością głos odpowiedział:

— Jam jest.

Josel zadrzał. Z trudem wyjąkał szczęśliwy i rozradowany bliskością Tego, którego szukał tak cierpliwie i wiernie:

— Panie, uzdrów mego ojca, daj, abysmy żyli obaj w szczęściu i pokoju.

Josel uczuł, jak na kędziorach jego czupryny spoczywa dłoń Jezusa i, jak Jezus gładzi go po bujnych kędziorach.

— Jam jest droga, prawda, żywot...

Josel począł całować zimne skały grobu.

— Wiara twoja da wam życie i prawdę i powiedzie was drogą zbawienia.

W skalistym załomie grobu poczęły osiadać cienie, a raczej dzienne światła, które po blasku zmartwychwstającego Jezusa, wydały się Joselowi ciemnością i mrokiem.

CHRYSTUS ODCHODZI

Lagodnym blaskiem rzuca swe promienie
Czerwieniejące karmazynem słońce
Na półdrzemiącą, cichą, senną ziemię...
Lekki zefirek twarze, czoła chłodzi.
W jedno się zdanie łączą słów tysiące:
Chrystus odchodzi.

Gromadka wiernych, między nimi dzieci,
Chrystus pośrodku — On im błogosławi:
Ręce wyciąga — szept w niebiosa leci —
Żal i tęsknota w duszach się narodzi,
Serce się bólem i smutkiem załzawi:
Chrystus odchodzi.

Wyciągnął dłonie. Aniołowie biali
Lekko, powiewnic w górę się unoszą —
Skrzydła swe Panu pod stopy podali...
Niebiosa płoną, jak mirjady zórz,
A łzami szczęścia wierni ziemię rosą:
Chrystus odszedł już.

SPIS RZECZY

	Str.
Chrystus i dzieci	9
Chrystus	11
Dzieci	12
Pogromca burz	14
Hosanna	18
Faryzeusz i celnik	31
Nuchimek	41
Zbawiciel umiera	52
W blaskach	53
Chrystus odchodzi	60



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

F

5125